



WIECZORY RODZINNE

TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI



Na borówkach.

Słońko jasnym blaskiem świeci,
Wkoło szumią drzewa,
Motyl z cichym szmerem leci
W górze ptaszek śpiewa.

Oj, prześliczny świat jest z rana,
Danaż moja... dana!...

Pośród świeżej traw zieleni
Kwiatczków tysięcy,
Wszystkie w złocie tych promieni
Takie czarujące.

Oj, prześliczny świat jest z rana,
Danaż moja!... dana!...

A u każdej drobnej trawki
Drga kropelku rosy,
Jakby ją tam dla zabawki
Spuściły niebiosy.

Oj, prześliczny świat jest z rana,
Danaż moja!... dana!...

Z brzękiem leci pilna pszczoła
I u kwiatków staje —
A woń ziela dookoła
Dziwną rozkosz daje.

Oj, prześliczny świat jest z rana,
Danaż moja!... dana!...

Już borówek jest w koszyku
Aż po sam wierzch prawie,
A było też śmiechu, krzyku
Z ptaszkami w zabawie.

Oj, prześliczny świat jest z rana,
Danaż moja!... dana!...

O, bo leśne te próżniaki
Wmówić we mnie chciały,
Że gdy zbiorę koszyk taki
Głodu by zaznały...

Oj, prześliczny świat jest z rana,
Danaż moja!... dana!...

Ale przecie im zostało
 Bóg wie jeszcze ile —
 Boby serce mię bolało
 Że ich pokrzywdziłam tyle.
 O, przesłiczny świat jest z rana,
 Danaż moja!... dana!...

Już się tłońce w górę wzbija
 Spoczną chwilę małą...
 Jak sen! dzionek prędko mija,
 Byle z Bożą chwałą,
 Oj, przesłiczny świat jest z rana,
 Danaż moja!... dana!...

Henryka Beecher-Stowe.

Czy nie przychodziło wam kiedy na myśl, słysząc o jakiej nędzy, jakby to dobrze było mieć władzę potężnego czarodzieja lub przynajmniej ziemskiego mocarza i jednym dotknięciem laski cudotwórczej, jednym pociągnięciem pióra znieść powód cierpień i wszystkich na świecie szczęśliwymi uczynić?

Ale cóż znaczą płonne chęci maluczkich, bezsilnych. Muszą oni poprzestać na tem co jest w ich mocy, a już wiele uczynią jeśli starać się będą o otarcie łez tych, znajdując się blisko w promieniu ich wzroku, w obrębie możności.

Są jednak istoty tak szczęśliwe, że chociaż los postawił je w skromnem położeniu, potrafiły objąć swoją działalnością tak szerokie przestrzenie, jak tego pragnęło gorące serce i nie poprzestając na swem małym kółku, uczyniły co każe duch Boży na szerokich przestrzeniach, niosąc wszędzie osłode, ocierając łzy, lub zamieniając je w łzy szczęścia.

Tego co niepodobna zrobić nieznaną, niezamożną kobiecic, uczynić można za pomocą wielu złączonych usiłowań, tylko trzeba znaleźć sposób ich zjednoczenia, zapalić wszystkie serca jednym pragnieniem i pobudzić krocie tysięcy do działania w jednym kierunku.

Jakimże sposobem do tego dojść można? zapyta zapewne niejedyn. Jaki to czynnik ma tę czarodziejską władzę?

Takim potężnym czynnikiem jest książka, jeśli ten co ją pisze posiada iskrę Bożą talentu, posłuży się nią po Bożemu i potrafi przemówić do szlachetnych instynktów ogółu.

Najlepszym przykładem jak niezmiernie wiele tym sposobem zdziałać można, jest powieść pani Beecher-Stowe „Chata Wuja Toma”, która tak dzielnie przyczyniła się do ostatecznego wyswobodzenia z niewoli murzynów, że jakkolwiek z tego powodu wybuchła długa i krwawa wojna domowa, Stany Zjednoczone wołały się na nią ważyć, niż tolerować dalej straszliwe pogwałcenie nauki Chrystusa i wszystkich praw ludzkości jakim jest niewolnictwo.

Wszyscy historyografowie tej burzliwej w Ameryce epoki, zgadzają się na to, że pani Beecher-Stowe, odegrała w niej przeważną rolę. A jednak nie była to żadna heroina, nie występowała publicznie, nie zwoływała zebrań, nie agitowała, córka i żona pastora, urodzona w Lichtfield w stanie Connecticut w r. 1812, zamknięta w domowych ścianach, oddana jedynie obowiązkom, zapewne przeżyłaby wiek swój cały nie myśląc o zawodzie autorskim, gdyby nie raniły ciągle jej serca okropne nadużycia, spowodowane niewolnictwem; mogła z niem walczyć piórem jedynie, więc oburzenie swe, ból, litość nad uciskanemi, wypowiedziała, w dziejach nieszczęśliwych opisanych w „Chacie Wuja Toma”, która ukazała się w r. 1850 i w jednymże roku w samych Stanach Zjednoczonych rozeszła w dwustu tysiącach egzemplarzy.

Powieść odpowiadała potrzebom chwili, była wyrazem oburzenia wielu serc szlachetnych i znalazła też w nich gorący oddźwięk. Tłomaczoną też była na wszystkie języki, a po-

między innemi na polski, wyszła także ta powieść skrócona i przerobiona dla dzieci, również w naszym języku, bo nagle sława nieznaną zupełnie do tej chwili autorki rozeszła się po całym świecie lotem błyskawicy.

W roku 1853 zaproszona przez grono pań angielskich, pani Beecher-Stowe przybyła do Anglii i miała odczyty, w których przemawiała gorąco za zniesieniem niewolnictwa, a podróż jej była prawdziwym tryumfalnym pochodem. Przyjmowano ją wszędzie, nietylko jako znakomitą autorkę, ale stokrót więcej wielbiono w niej kobietę, która przyczyniła się tak dzielnie do skruszenia kajdan milionów niewolników.

Rozgłośna sława i za nią idące dostatki, nie zmieniły nawyknień skromnej, bogobojnej, oddanej miłości bliźniego kobiety, jaką pozostała zawsze pani Beecher-Stowe. Nie oślniła jej pycha, a gdy ją zapytywano, w jakich warunkach napisała „Chatę Wuja Toma”, odparła z prostotą, że obmyślała ją, gotując obiad dla swej rodziny.

Powróciwszy po swej pamiętnej podróży po Europie do Ameryki w domowe zacisze, pani Beecher-Stowe pisała jeszcze dużo powieści, pisała je z wielkim talentem, zawsze powodowana szlachetnymi uczuciami. Żadna z nich jednak nie miała już takiego rozgłosu jak „Chata Wuja Toma”, która pozostała jej arcydziełem i głównym tytułem chwały.

Zresztą życie jej było tak spokojne i ciche, iż nie o niem powiedzieć nie można. Od lat dwudziestu kilku wzrok miała bardzo osłabiony, z tego powodu pisać przestała. Ostatnie lata życia spędziła dobrze czyniąc i pielęgnując kwiaty.

W. M.

ODZYSKANY.

POWIEŚĆ

przez

Maryę Łopuszańską.

(Dalszy ciąg).

— Ale gdzież to Juraś? — spytał Paweł.

— Jeszcze nie wrócił z Bakoty — odparła Steńka — pewnie tam na jarmarku spotkał się ze swoimi wujami i oni go trzymają. A mówiłam, żeby się długo nie bałamucił w miasteczku.

— Czy to wasz syn? — spytał stary.

— Tak, niby jak syn — odrzekł Paweł.

W tejże chwili dał się słyszeć tentent na ścieżce, wiodącej do jaru i rozległ się śpiew donośny, widocznie z młodej piersi pochodzący:

Oj nie szum nad wodą zielony bajraku

Oj nie plaecz, nie tęsknij ty młody junaku...

— To Juraś — zawołała Steńka i pobiegła do chaty przygotować wieczerzę dla przybywającego.

W istocie był to Juraś w towarzystwie parobka z futuru; Juraś jechał naprzód, za nim pacholek, mający uwiązaną do siodła torbę, w której wiozł rzeczy; zakupione na jarmarku. Zajechawszy na dziedziniec Juraś zdjął czapkę, wołając wesoło:

— Dobry wieczór, ojcze, dobry wieczór wam, dziadku! Zdaleka pewno przywędrowaliście do nas?

— To rzekłszy, zeskoczył lekko z konia, którego pacholek zaraz zabrał, pocałował Pawła w rękę, dziadkowi się pokłonił wciąż z uśmiechniętą twarzą.

— Długoś się bawił na jarmarku — ozwał się Paweł, także z uśmiechem — tutaj już baby na was gderają, że soli nie mają.

— Nie nasza wina — odrzekł Juraś — napadli na nas w stepie...

— Jak? kto? — zawołał Paweł — opowiedz!

— Nikt inny tylko hultaje — rzekł Michałko, zbliżając się poufale — ja zawsze mówię panu Jurasiowi, żeby tak późno nie wracał.

— Wielka rzecz! I cóż mi się stało? — odparł ruszając ramionami — napadli na nas tośmy ich rozpedzili...

— A ilu ich było? — spytał Paweł.

— Trzech tylko. Nie mieli nawet porządnej broni, to też umknęli zaraz, jakeśmy na nich końmi natarli!

— W którymże to miejscu? — badał Paweł dalej.

— Zaraz za Bakotą koło Kawkowego jaru.

— Bardzo to dobrze, żeście ich rozpedzili, ale lepiej byś zrobił, żebyś tak późno nie wracał — rzekł Paweł — Chybaś nie słyszał o tem, że tu na pograniczu są tacy sprytni ludzie co kradną młodych chłopców i młode dziewczęta i potem ich do Krymu albo i do Stambułu sprzedają?

— Oho! mnieby nie ukradli, nie dałbym się! — zawołał Juraś podnosząc głowę z błyskiem śmiałości w oczach.

— Nie gadaj no ty, nie gadaj — odparł Paweł — chociaż masz dosyć śmiałości, aleś jeszcze niedorosły...

— Ach, żebyś ja mógł dorosnąć prędkiej! — zawołał chłopak z westchnieniem.

Nieznajomy starzec patrzył z zajęciem na chłopca, widać było, że mu się podobał. Po chwili westchnął i smutnie zwiesił głowę.

— I ja miałem kiedyś takiego! — rzekł półgłosem jakby do siebie.

— Mielicie syna, a gdzie on teraz? — spytał Juraś podchodząc do staroego.

Na to on odpowiedział gestem wskazując na ziemię.

— Umarł? — spytał Paweł.

— Zabito mi go — odparł krótko starzec. Sam jestem teraz na świecie, jak ten palec.

Tymczasem Steńka zawołała z chaty Jurasia, aby szedł jeść wiesz. Już od Michałka dowiedziała się o napaści w drodze więc też odrazu zaczęła gadać:

— A ja mówiłam nie bawcie się długo na jarmarku. Poco tobie było siedzieć do późna?

— No i cóż mi się stało? Już widzę, że ten niezdar Michałko musiał narozpowiadać tu przed wami...

— Jako co się stało? Zresztą jeśli się nie stało, to stać się mogło. Oj niedoła moja, teraz ja nie będę nigdy spokojną, gdy ciebie długo nie będzie z powrotem.

To mówiąc Stańka zaczęła ocierać oczy fartuchem.

— Przestańcie, matko, o czem tu gadać? Czy tak, czy tak, za piecem siedzieć nie będę i wy sami chyba tego nie chcecie. Czyż nieprawda — dodał z uśmiechem obracając głowę do stojącej za nim Steńki. Nie była w stanie dłużej się dąsać i uśmiechnęła się także do niego, a głaszcząc go po włosach swą zgrubiałą od pracy ręką rzekła z macierzyńską troskliwością: — No jedz już, jedz, musisz być głodny i zmęczony.

— Nie bardzo — odparł Juraś, biorąc łyżkę ze stołu. A gdybyście matusiu widzieli, jaki ja śliczny hufiec widziałem w Bakocie!

— A czyż to?

— Pana Morozowskiego.

Tymczasem stary, siedząc na przyzbie z Pawłem, mówił do niego, spoglądając przed siebie:

— Podoba mi się wasza sadyba i sama okolica... dobrze tu żyć być musi u was...

— Nie skarżymy się, chwała Bogu...

— Słuchajcie, jabym chciał także gdzieś sobie chatę wybudować i zamieszkać, sprzykrzyła mi się już ta wędrownia po świecie, czyby tak nie można gdzie tutaj blisko?

Paweł popatrzył trochę zdziwiony: dziad, który chce chatę budować! Ale niebardzo znów się dziwił, bo odrazu poznał, że to niezupełnie prawdziwy był dziad, tylko pozor taki na siebie przybrał. Tymczasem stary mówił dalej:

— Dużo w mojem życiu nawłóczyłem się po świecie, czas już spocząć. Po was odrazu poznałem, żeście dobrzy ludzie, więc chciałbym zamieszkać w waszem sąsiedztwie.

Paweł milczał, namyślając się jeszcze, wreszcie rzekł.

— A dlaczego nie mielibyście zamieszkać? Toć ziemi jest dosyć puste. Tylko chatę trzeba samemu sobie zbudować, a czy wy potraficie? — dodał, spoglądając na starca badawczo.

— O nie takim ja stary i bezsilny jak wam się zdaje — odrzekł nieznajomy, prostując się, aby pokazać swoje szerokie barki, siwizną nię okryły troski a nie lata,

— Ale my dotąd jeszcze nie wiemy jak was zwać rzekł Paweł.

— Nazywam się Krystyn — odrzekł podróżny krótko i dobitnie, jakby chciał się od wszelkich nowych pytań uchronić.

— A więc mości Krystynie, chcecie zbudować chatę, to trzeba wpieryw naćcinać drzewa w lesie, a do tego nie wiem czyście przywykli.

— A czy nie mógłbym znaleźć tu kogo do pomocy w tej robocie? — spytał Krystyn.

— To i jabym wam mógł pomódz z moimi ludźmi, ale to bieda, że teraz robota w polu.

— Poczekalbym aż skończycie robotę u siebie, a tymczasem zaś, by darmo chleba nie jeść, pomógłbym wam trochę. Chyba się przydam na co na waszym futorze? Widziałem tu u was pasiekę, na tem znam się wyśmienicie...

— A toście mię dopiero ucieszyli, bo u nas jakoś nie wiedzie się z pszczołami, może wy co poradzicie.

Siedzieli tak do późna w noc na przyzbie, rozmawiając i radząc, aż dopiero gdy rosa nocna zaczęła ich przejmować, Paweł wstał i rzekł przeciągając się:

— No, spać pora, jutro rano trzeba iść do żniwa. Gdzie wolicie, w stodole czy w chacie?

— Dajcie mi przespać się w stodole, tam mi będzie najlepiej.

Gdy Paweł, odprowadziwszy gościa na spoczynek, powrócił do chaty Steńka zapytała go:

— Cóż tak długo rozmawiał z tym dziadem?

— To dziwny jakiś człowiek — rzekł Paweł w zamyśleniu — chce zamieszkać tu w jarze; ubrany jak dziad a mówi i patrzy jakby był co innego. Takiego nie widziałem jeszcze w życiu mojem.

— A gdzie on będzie mieszkał?

— Chatę chce budować.

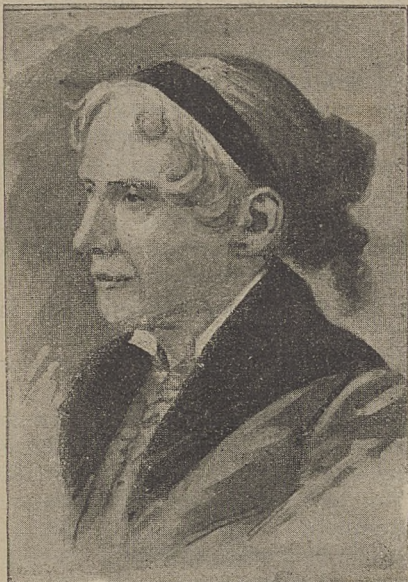
— Wiesz, poradź mu żeby sobie zbudował mieszkanie w starych rozwalinach w lesie — przynajmniej mniej będzie miał roboty rzekła Steńka.

— Może i dobrze radzisz — odparł Paweł — pomówię z nim o tem jutro.

Krystyn został więc na futorze, pomagając w zajęciach gospodarskich; znał się na wielu rzeczach bardzo dobrze, umiał chodzić koło pasieki, gdy koń lub bydlę zachorowało, umiał na to radzić, skutecznie nawet potrafił znaleźć radę i na ludzkie niemoce. Stał się też wkrótce bardzo pożytecznym, przyzwyczajono się do tego, że mało mówił i nie lubił opowiadać o sobie i najczęściej był zamyślony. On ze wszystkich mieszkańców futoru najwięcej polubił Jurasia, często zatrzymywał na nim wzrok z jakimś rozrzwiniem, snąc przypominał mu on syna straconego. Juraś też czuł dla niego życzliwość i poszanowanie, należne starości i nieszczerze i starał się oddawać mu różne drobne usługi. Tym sposobem związał się między nimi stosunek przyjazny. Krystyn wołał go do siebie gdy miał wolną od zajęcia chwilę i zawiązywał z nim rozmowę, wypytując o to i owo, lub też sam opowiadał, ciekawe rzeczy. Juraś dodad o niezem podobnem nie słyszał: ten dziad, który przywędrował tutaj z sakwami żebraczemi, widocznie żył dawniej w innym zupełnie świecie, gdzie panowały odmienne zwyczaje i pojęcia niż na ustronnym futorze. A choć często gorycz przebijała w jego słowach, choć nieraz mówił, że pomiędzy wielkimi spotyka się często zdradę i przewrotność, jednak Juraś nie mógł temu uwierzyć, bo w nim, który żył tam między nimi widział coś, co

mimowoli cześć nakazywało. Chłopak też coraz więcej przywiązywał się do niego i słuchał jego powieści jeszcze z większym zajęciem, niż opowiadania Pawła i Bandury. Słuchając ich, czuł się unoszonym gdzieś wyżej, w świat uczuć szlachealnych i wzniosłych. Tymczasem minęło lato i wraz z nim najpilniejsze roboty, można więc było zabrać się do budowania chaty. W lesie, wśród jaru głębokiego, o pół godziny drogi od futoru znajdowały się dawne jakieś rozwaliny. Nikt nie wiedział skąd pochodziły i kto je zbudował; widocznie Tatarzy musieli zburzyć czyjaś siedzibę i pozostały tylko nagie ściany wśród gęstwi leśnych, służące teraz za przytułek zwierzętom i puszczykom.

W pogodny dzień jesienny Paweł, Juraś i Krystyn wybrali się w celu obejrzenia ruin. Szli brzegiem potoku, pod cieniem drzew, które okryte żółtym i czerwonym liściem, rozsypywały je dokoła siebie hojnie. Trawa po kilku deszczach spadłych, była zielona, wiosenną prawie zielenią, gdzieś niedaleko nawet kwitły kwiatki spóźnione. W powietrzu by-



Henryka Beecher-Stowe.

ła cisza, przerywana tylko szmerem liści spadających na trawę, lub też szelestem ich pod nogami idących. Przypyszne motyle bujały wygrzewając się w jesiennym słońcu a długie, białe pajęczyny ulatywały w powietrzu. Drzewa stawały się coraz gęstsze, miejsce olch i jesionów zajęły dęby, zupełnie jeszcze zielone i kryjące pod swoimi rozłożystymi konarami, całą gąszcz krzewów i młodych drzewin, które tworzyły gęstą i nieprzeniknącą siatkę, nieprzebitą dla oka. Po obu bokach piętrzyły się strome skały jaru, tak samo porośnięte lasem, a miejscami przerznięte rozpadliną, którą sączyły się strumyki, zdradzające swój bieg tylko żywą zielenią roślinności. Czasem skały występowały naprzód i zagradzały drogę potokowi, który wówczas zwał swój bieg i płynął wąską rozpadliną. Niektóre drzewa, rosnące na skałach z korzeniami na wpół obnażonymi, zdawały się zawieszony w powietrzu, albo też przegięte ponad potokiem, tworzyły rodzaj mostu zielonego. W miarę jak się wędrowce zapuszczali w gęstwinę, jakaś cisza uroczysta ich obejmowała; ale nie była to pępna cisza borów sosnowych; tysiące szeptów, szelestów, szmerów w niej się rozlegało, a słońce z pomiędzy liści siało złote iskry, w górze zaś, ponad jarem krążyła para orłów, i od czasu do czasu zdawały się nawoływać wzajemnie głó-

sem podobnym do klekotania. Skoro się spuszczały niżej, wówczas w gąszczach nikły głosy ptaszące, jak gdyby strwożone. Juraś żałował, że gąszcz, przez który się darli przeskadzała mu dać strzał do orłów. Ale wkrótce natopili na ślad zarosłej ścieżki, drzewa stały się trochę rzadsze i wreszcie ukazały się szare ściany ruin, całe zarosłe bluszczem, powojem i krzewami, tak, że je zaledwie widać było. Widocznie kiedyś był to rodzaj zameczku, bo nawet ślady okopów istniały ale już na nich rośło młode drzewo. Ściany z szarej opoki zachowały na sobie jeszcze ślady ognia; kilka otworów w miejscu okien, spoglądały na przychodniów jak oczy pozbawione źrenic, przez otwory te wзираły gałęzie krzewów, rosnących wewnątrz. Zdawało się, że roślinność śpieszyła objąć w posiadanie pustkę zostawioną przez ludzi i opłamała ją tak, że wszędzie widać było tylko zwoje łodyg i gałęzi poplątanych, zapelniających nawet wnętrza, które składało się z dwóch izb. Gdy przybyli weszli tam, z pod nóg ich z sykiem i szelestem trawy wysunęła się żmija, w załomach pod gżemkami wisały śpiące nietoperze, a w jednym kącie bieleła coś nakształt kości ludzkich.

— Oj, dawno ja nie był tutaj — ozwał się Paweł — już będzie z pięć lat temu, jak ostatni raz tu zaglądałem...

— A nie wiecie kto tu mieszkał dawniej? — spytał Krystyn, który na widok pustek pogrążył się w smutną zadumę.

— A kto to może wiedzieć? Wiadomo tylko, że mieszkali ludzie, a kto oni byli, to już nikt tam nie pamięta. Albo to mało u nas takich siedzib zburzonych po Tatarach zostało? Przyszli ludzie, zbudowali chatę i żyli sobie spokojnie, kiedy napadli Tatarzy, puścili wszystko z dymem, a ludzi pozabijali lub pobrali w jassy, ot taka dola nas wszystkich na kresach! Jeszcze panom, co mają zamki to jako tako, bo się mogą schronić za ich murami, ale nam chudopachołkom biada!

— Och, nie pierwsze to gniazdo zburzone widzę w moim życiu — rzekł Krystyn z westchnieniem, w którym zdawały się przebijać jakieś bolesne wspomnienia. Dobrze żeście mnie tutaj przyprowadzili, mnie staremu tylko w ruinach żyć przystało, bo sam jestem ruiną...

— Dlatego was tu przyprowadziłem, że tutaj łatwiej wam urządzić sobie mieszkanie, niż gdzie indziej, ściany jeszcze dobre tylko oczyścić trochę wewnątrz, włożyć krokwie i pokryć, a będzie taka siedziba, aż miło. My wam w tem pomożem...

— Bóg wam zapłać gospodarzu; mnie tam pałaców nie trzeba, byle dach nad głową, to dosyć.

— Może chcecie obejrzeć lepiej miejscowość, to chodźcie za mną ozwał się Juraś idąc naprzód.

W pobliżu wznosiło się łyse wzgórze, na szczycie którego leżał spory kamień. Juraś począł się drzeć po uboczny jaru zarosłym krzewami i wkrótce ukazał się tam, a stanąwszy na kamieniu, krzyknął głośno:

— Hop, hop! a głos pobiegł w dal odbijając się echem o skaliste ściany. Paweł i Krystyn podążyli za chłopcem i gdy znaleźli się przy nim, wzrok ich objął dosyć znaczną przestrzeń jaru, który zaginał się i rozszerzał w tem miejscu, dając możność potokowi rozszerzyć również swój bieg. Po obu stronach roznosił się gęsty las; jego drzewa napół już opadłe z liści, tworzyły dwie czarne ściany. Miejscowość ta miała pozór dziki i samotny. W jednym miejscu nad potokiem wśród zarośli widać było mnogie ślady, znać zwierz dziki chodził tędy do wodopoju. W innym miejscu potok zawalony był drzewami, których korzenie sterczyły ku górze, jak gdyby wielkie wody przeszły, kamienne łożysko było tu nierównym i potworzyło się kilka wodospadów, których szum jednostajny przerywał ciszę jaru. Dalej trochę, ponad drzewami, sterczała wierzchołek skały, wyrzeźbiony tak misternie, jak gdyby ręka gotyckiego mistrza pracowała nad nim.

Ponad tem wszystkiem jesiennie słońce świeciło nie paląc, ale grzejąc łagodnie, a w blaskach jego złociły się wierzchołki lasu, z którego dochodziły czasem dziwne jakieś szumy i łoskoty, które Paweł jeden rozpoznawał.



Łowcy z sokolami.

— To drzewo padło ze starości — mówił, przysłuchując się długiemu, przeciągiemu łoskotowi. A teraz wilczyca się odezwała na legowisku — powiadał po chwili, gdy rozległo się długie, żalonne wycie, powtórzone przez echa.

— Jutro zabierzemy się do roboty — rzekł zwracając się do Krystyna, który spoierał w dal przed siebie.

— A mnie weźmiecie do pomocy, tatusiu? — spytał Juraś.

— To czemu nie, byleś naprawdę robił a nie figlował — odparł Paweł.

I poczęli schodzić ze wzgórza, Juraś zaś biegł naprzód nie zważając na kamienie usuwające mu się z pod nóg. Na jutro istotnie zabrali się do roboty; najprzód oczyścili drogę do ruin, zawałoną zmurszałymi kłodami i zarosłą gąszczem, potem wzięli się do uprzątnienia wnętrza. Krystyn pracował bez wielkiego wysiłku i Paweł dziwił się nieraz, widząc w nim tyle jeszcze siły. Ku końcowi jesieni dach stanął w środku drugiej izby wymurowano miejsce na ognisko i zbito z kilku desek drzwi. O okna mniej się troszczono, otwory, w których mieściły się one dawniej dawały dość światła, a gdy nastaną wiatry i zawieje, można je zamykać okiennicami, zbitymi na prędcę. W jednym kącie stał tapczan, na którym Krystyn usłał sobie posłanie z suchych liści i skór owczych, w drugim zaś stół i ława na krzyżowych nogach, wszystko to sporządził Paweł. Statków niezbędnych w gospodarstwie oraz zapasów dostarczyło targowisko w Bakocie, więc czego jeszcze było potrzeba? Krystyn zamieszkał w swej nowej siedzibie z końcem października, a że jesień długo była ciepła, więc mógł pracować jeszcze przy domu, gdzie pozostały ślady dawnego ogrodu, to jest kilka drzew wiśniowych oraz dwie zdziczałe jabłonie. Oczyścił to miejsce z chwastów i skopał, aby na przyszłą wiosnę zasadzić tam jakieś warzywa.

— Nasz stary ma trochę pieniędzy — mówił Paweł do żony — kupił parę owiec u mnie.

— Przynajmniej nie gadałbyś o tem przy ludziach — ofuknęła go Steńka — bo jeszcze gotowi go zabić. A jakże on tam sobie daje radę na swojej siedzibie?

— Nie bój się o niego, dość on ma jeszcze siły, a toporem robi tak składnie, że aż patrzeć miło.

Pawłowa nie potrzebowała się troszczyć o Krystyna, bo Juraś przybiegał codziennie do niego, aby mu pomódz w robocie. Coś go ciągnęło do tego starca, każde jego słowo było dlań nad wyraz zajmującym. Gdy nastaly słoty jesienne wówczas stary wydobyl kilka ksiąg, które miał u siebie w torbie i czytał z nich niekiedy Jurasiowi, a kiedy chłopca to zaciekawilo, powiedział, że go będzie uczyć czytać i pisać. I oto gdy po jarach świstała jesienna wichura, oni siedzieli we dwóch nad księgą i czytali.

Juraś był uczniem niezmiernie pojętym i prędko wyuczył się czytać, zwłaszcza, że w książce Krystyna opisywane były bitwy sławne, które chłopca w zachwyt wprawiały. Na ognisku ogień płonął trzaskając, łuczywo skwierczało, oświecając mdłym blaskiem karty księgi, a Krystyn czytał: „Gdy srogi był, widziałeś jasne iskry w oczach jego, twarz paląca, kark się jako na lwie nadymał, stawały na nim włosy. A gdy zasię łaskaw był — anioł z nieba a nie człowiek się widział...”

Na szerokim łęgu stał rząd kosiarzy, tnąc trawę, która wyrastała po pas, a pozatykana była ziołami i kwieciami. Byli to wszystkie robotnicy Pawła, do którego należał ów sianośkos.

(d. c. n.)

ŁOWY Z SOKOŁAMI.

Do najszlachetniejszych rozrywek rycerskich dawnych czasów, zaliczano łowy z sokołami, którym z prawdziwą na-

miętnością oddawali się zarówno możni panowie, jak dostojni ich władcy, nie wyłączając nawet dam i duchowieństwa.

Jeżeli już na początku IV wieku, kronikarze Francji, Niemiec i Anglii wspominają o sokolnictwie, jako o sztuce niezbędnej do dobrego tonu, to na Wschodzie znana ona była na wiele wieków przed Narodzeniem Chrystusa, a uprawiały ją szczególnie wszystkie ludy łowieckie i koczownicze, zamieszkujące rozległe stepy, gdzie dla myśliwego posiadającego dzielnego konia, nastęrczały się najkorzystniejsze ku temu warunki. Wiemy, że Japończycy, Chińczycy oraz mieszkańcy obszernych równin mongolskich, zajmowali się z upodobaniem sokolnictwem, w Indjach natomiast musiało ono być nieznanem, gdyż Aleksander W. nie napotkał go tam wcale, również i w dawnym Egipcie nie hodowano widocznie sokołów, żadne bowiem malowidło ani rzeźba na starożytnych pomnikach, nie przedstawia podobnych scen łowieckich; co więcej nie przyswoili sobie tego obyczaju ani szlachetni Grecy, ani nawet rycerzcy Rzymianie, jakkolwiek nie ulega wątpliwości, że przez stosunki ich ze Wschodem nie mógł on pozostać im obcym.

Pierwszym w Europie monarchą, który zaprowadził prawdziwą hodowlę sokołów przyuczonych do łowów, był Karol W. i odtąd następcy jego na tronie francuzkim nie szczególni kosztów, by z jak największą wspaniałością odbywały się tego rodzaju zabawy, a wojny krzyżowe, w których rycerstwo obznajmiło się z przepychem z jakim się one odbywały na Wschodzie, przyczyniły się niemało do rozwoju sokolnictwa we wszystkich krajach naszej części świata, z nich nawet utworzono honorowe urzędy wielkich sokolników królewskich, podczas gdy monarchowie przesyłali sobie w darze, w dowód uznania i przyjaźni, wyuczone sokoły.

Opierając się na podaniach kronikarzy, wiemy, iż potężny Czyngis-Han posiadał całe zastępy sokolników, i że w ogóle Mongołowie cenili łoświectwo najwyższej po wojennych ćwiczeniach, posiadali najlepsze psy i sokoły. Królowie francuzcy, Henryk IV, Ludwik XIII namiętnie oddawali się łowom z sokołami równie jak Fryderyk II-gi, cesarz niemiecki, bo też sokolnictwo w jego pojęciu stanowiło sztukę nad sztuki i szlachcic nie znający się na niem godny był pogardy; napisał nawet o tem obszernie dzieło.

Mijały wieki, a sokolnictwo pozostawało stale w wielkiem poważaniu, jakkolwiek ustępować powoli zaczęło, przed ciągle doskonalącą się bronią palną, aż wreszcie rok 1792 przyniósł mu prawie zupełną zagładę.

Gatunkiem z licznej rodziny sokołów cenionym nad wszystko były: „*Białozory*”, które rzucały się na większe nawet od siebie ptaki, jak czaple i żorawie.

Jastrzębie chwytaly tak dzikie kaczkę, gęsi, cietrzewie, dropie, króliki i zające, podczas gdy trudniejsze już do przyswojenia i ułożenia *krogulce* i *raragi* występowały śmiało do walki przeciw lisom, borsukom, bobakom i sarnom.

Nie było to jednak rzeczą łatwą dzikie te i drapieżne ptaki oswoić i wyuczyć, praca taka wymagała wielkiej cierpliwości i zupełnego oddania się jej dniem i nocą, to też urząd sokolnika dobrze na dworach był opłacany.

Młode, jeszcze z gniazda wybrane sokoły, „gniźnikami” zwane, chowano na domu lub wieży, aby nawykły wysoko się wzbijać; karmiono je często i dobrze, szczególnie podczas nauki świeżem mięsem kurcząt i kur; by nie uciekały, noszono na rękę, stawiano przed świeżą wodą, gdzie się mogły wykapać i następnie na słońcu suszyć; słowem, dogadzano im pod każdym względem. Tak też ułożony sokół znalazł swego ptasznika i zawsze do niego wracał. Po skończonej nauce umieszczano ptaka w ciemnym miejscu, lub kapturzono mu głowę, aby nic widzieć nie mógł, co go łagodniejszym czynić miało, zwykle też w przedsiionkach zamków i dworów siedziały sokoły z kapturkiem na głowie, przywiązane rzemykiem do „berła” czyli drążka. Wyjeżdżający na łowy sadzali sokoły na pięści, zawsze z owym kapturkiem, trzymając równocześnie

wiązany do nich rzemyk, podczas gdy rękawica z grubej, łoskowej skóry chroniła rękę przed potężnymi pazurami drapieżnika.

Gdy pies stanął, albo myśliwy sam upatrzył zwierzynę, zrywano sokołowi kapturek i rozwiązywano rzemyk, a oswojony ptak wzbijał się pod obłoki, krążył dokoła, w stosownej chwili składał skrzydła i przyspieszonym biegiem, jak kamień, spadał na swą zdobycz, tłukł ją i pazurami szarpał.

Często ofiara broniła się zawzięcie i walka przedłużała się znacznie, dając szczególnego rodzaju widowisko zamiłowanym w tym sporcie myśliwym. Najciekawsze pod tym względem były łowy na czaple, w których napadnięte ptaki zwykle przewracały się w powietrzu, nastawiając swe ostre, długie dzioby przeciw pierśm napastnika, jak to przedstawia rycina nasza. Sokół wychodzący z takiej próby zwycięzko, uważany był za najdzielniejszego, a cena jego dochodziła często wartości trzech pięknych koni wierzchowych.

Dobrze wyćwiczony czyli ułożony sokół, porwawszy swą ofiarę wracał na rękę myśliwego, na odgłos świstania lub nawoływania: „Kubuś” „Kubuś”! do których to branień nawiąki w czasie swej nauki.

Sokoły należą do rzędu drapieżnych ptaków dziennych; średniego wzrostu, ze ściśle przystającym pierzem, mają nogi krótkie o długich palcach, dziób ich długi haczykowato zgięty z wyraźnymi otworami nozdrzowymi, jest również niebezpieczną bronią u tych ptaków, które są zaciętymi wrogami i tępicielami wszelkiego innego ptactwa, bo najszybsze z nich w locie jak: jaskółki i gołębie, trafem tylko zdolają ująć ich pogoni.

DLA SIOSTRZYCZKI.

(Dokończenie. *)

— Kiedy byłem niedużym chłopcem utraciłem siostrzyczkę, którą nadzwyczajnie kochałem — mówił dorosły już Franio, spoglądając po małym gronku swoich siostrzeńców, które go otaczało, słuchając z ciekawością. — Rozpacz moja była tem większa, że o śmierci jej dowiedziałem się niespodziewanie, w chwili, kiedy wracałem do domu na święta i cieszyłem się myślą jak bardzo uraduje się ona lalczką, którą jej z własnych oszczędności kupiłem.

To też w pierwszej chwili nie posiadałem się z żalu; spłakany, zbolały, siedziałem na jednym miejscu z założonemi rękami, myśląc o tem: że Kaziuchny już niema; nic mnie nie zajmowało, nawet posiłku wziąć odmówiłem.

Pamiętam, było to na drugi dzień po mojem przybyciu do domu, siedziałem wtulony w kąt pokoju, ze wrokiem posępnie utkwionym przed siebie, kiedy wtem na ramieniu poczułem dłoń matki.

— Franiu, moje dziecko — przemówiła do mnie łagodnym głosem — ty tak bardzo kochałeś siostrzyczkę, dla czego martwisz ją teraz?

— Martwię Kaziuchnę — zawołałem z goryczą — a kiedy jej już niema.

— Bóg zabrał ją do siebie, aby z niej uczynić aniołka — wyrzekła matka z przekonaniem — ona stamtąd unosi się nad nami, widzi nas ciągle i raduje się, gdyśmy tu spokojni i dobrzy, lub smuci się z naszego powodu; widząc jak ty bolejesz i płaczesz po jej stracie, ona się tam bardzo smuci, synku.

— Naprawdę, mam! — zawołałem — naprawdę Kaziuchna widzi mnie z nieba?

— Czyżby ci maceczka kłamała, moje dziecko?

Te słowa matki wywarły na mnie wrażenie nie do opisa-

nia. W tej chwili zdawało mi się, że umrąłem tam, w górze, małą Kaziuchnę przemienioną w aniołka, rozkoszną, uśmiechniętą, wyciągającą ku mnie swoje drobne rączki, że słyszę nad sobą szum jej białych skrzydełek, wyrosłych u jej ramion. Raz jeszcze wybuchnąłem płaczem, ale nie były to łzy buntu i goryczy, tylko łzy rozczulenia.

I wrażenie to pozostało mi na zawsze. Myśl, że Kaziuchna-aniołek mnie widzi, że ciągle patrzy na mnie, była mi wszędzie obecną. Moja mała, droga siostrzyczka stała się dla mnie prawdziwym aniołem-stróżem. Uczucie, że moje dobre postęпки sprawiają jej radość, było mi podniecię do dobrego i powstrzymało mnie od wielu złych uczynków, wbrew namowom lub przykładom swawolnych kolegów, bo gdy popełniłem co złego, choćby w największej skrytości, przychodziło mi na myśl, że mój aniołek z białemi skrzydełkami płacze nad tem, i zasłania sobie małemi piąstkami oczy, jak to robiła Kaziuchna, gdy płakała, stawałem się zawstydzony, niespokojny i natychmiast czuwałem żal i skruchę ogromną.

— Tak, tak, moje dzieci — dokończył wuj Franio z łagodnym uśmiechem — jeżeli waszego wujaszka nazywacie dobrym i jeżeli go tak prawdziwie kochacie, to w tem jedynie zasługa jego malutkiej siostrzyczki.

— A niechże wujaszek opowie jeszcze dzieciom o tej biednej dziewczynce, co to ją przez pamięć dla siostrzyczki przyprowadził do swojej mamusi, gdy ona własną straciła i stał się dla biednej sierotki opiekunem prawdziwym — powiedziała pani Stańska, zbliżając się do wuja Frania i spoglądając na niego z rozrzwiniem.

— Mój wujku! prosimy opowiedzieć nam, prosimy bardzo — zaczęły wołać dzieci.

— Ale niema o czem, niema o czem — bronił się wujek.

— No dobrze, to ja wam opowiem w zastępstwie wujka — powiedziała matka.

— Widzicie, moje dzieci: była raz sobie malutka dziewczynka, takie bobo z niebieskiemi oczkami, o jasnych kręących się kędziorkach, i był sobie chłopczyk, który chodził do gimnazjum, a mieszkał przy swojej mamusi, która niedawno przeprowadziła się z Krotoszyzna do owego miasta. Ten chłopczyk, ile razy zobaczył ową dziewczynkę bawiącą się na dziedzińcu, zawsze uśmiechał się do niej, a raz gdy się wywróciła i rozplakała, podniósł ją troskliwie, wziął na ręce i zaniósł po schodach do mieszkania. Więc owa dziewczynka polubiła bardzo tego chłopczyka, że był taki dobry, a jak go zobaczyła, biegła zaraz do niego, i przymilała się jak małe kociątko. Chłopczyk ów brał ją na kolana, głaskał po główce, aż raz zapytał jej:

— Jak ci na imię, malutka?

— A Kaziuchna — odpowiedziała.

Chłopczyk pocałował ją w główkę.

— A masz rodziców? — pytał dalej.

— Tatusia już nie mam — mówiła dziewczynka — tylko mamusię.

— A gdzie jest twoja mamusia?

— Poszła na lekcy, bo mamusia uczy dzieci.

— A braciszka masz?

— Nie, nie mam, ani braciszka, ani siostrzyczki.

Odtąd zawiązała się ogromna przyjaźń pomiędzy ową dziewczynką a chłopczykiem. On robił jej zabawki, kleił domki z tektury, ona opowiadała mu bajeczki i wierszyki, których się przy mamusi uczyła, a kiedy na nieszczęście dziewczynka straciła swoją dobrą, kochaną mamusię i została sierotką, on powiedział do niej:

— Cicho! nie płacz, będziesz we mnie mieć brata, który ci nie da krzywdy zrobić.

I tyle prośbami swemi sprawił u swojej mamusi, że ta nie pozwoliła, aby biedną sierotkę oddano do ochronki, zabrała ją do siebie i wychowywała jak własne dziecko, chociaż sama ciężko pracować musiała na utrzymanie, a on, starszy syn jej, zarabiał w szkołach korepetycjami, oddając cały zarobek na potrzeby matki i przybranej siostrzyczki.

— A proszę mamusi, co się później stało z tą dziewczynką? — pytały nadzwyczajnie zaciekawione dzieci.

*) Patrz numer 32.

— Ta dziewczynka nauczyła się bardzo ładnie szyć od jego mamusi, kształcąc się równocześnie przy swym mądrym braciszku, który odbywał z nią lekcye gimnazyalnych nauk, potem gdy urosła już duża, duża, została dobrą gospożą i wyręczała przybraną mamusię, wyszła za mąż, za człowieka zaanego i pracowitego, Bóg jej dał dzieci i żyje sobie bardzo szczęśliwa, we własnym domu wśród dobrej, kochającej rodziny.

— A czy mamusia знаła tę sierotkę? — zapytała najstarsza córeczka pani Stańskiej.

— Tak, moje dziecko, bo to ja sama nią byłam — odrzekła pani Stańska z uśmiechem.

Milczenie wywołane zdumieniem zapanowało pomiędzy dziećmi. Wtem odezwała się córeczka pani Stańskiej, podnosząc na matkę zamyślonę oczy:

— Mnie się zdaje, że to Bóg umyślnie tak sprawił.

— Co takiego, moje dziecko?

— Zabrał do siebie ową Kaziuchnę, żeby przez nią uczynić wuja takim dobrym jak jest, i żeby biednej sierotce dać drugą, przybraną rodzinę. Prawda mamusięku?

E. Jerlicz.

Z DALEKIEGO ŚWIATA.

Wyprawy podbiegunowe. — Ogród zoologiczny w Paryżu. —
Długo-ogoniasty kogut.

Oddawna już ciekawi podróżnicy próbowali dostać się do bieguna północnego, pomimo licznych niebezpieczeństw podobnej wyprawy. Pierwszy udał się w tę stronę w r. 1517 Sebastian Cabot, który szukał północnej drogi morskiej pomiędzy Ameryką a Chinami. Rezultatem podróży było wyknięcie drogi morskiej Hudsona. Do r. 1631-go, czyli w ciągu 100 lat, wyprawy podbiegunowe należały do bardzo częstych, ale bezowocnych. Napróżno rząd angielski wyznaczył 20,000 funtów szterlingów za znalezienie wyjścia z zatoki Hudsona. Najbogatszą w rezultaty podróż odbył w r. 1778 Cook. W r. 1816-tym rząd angielski przypomniał żeglarzom nagrodę wakującą, dodatkowo zaś wyznaczył 5,000 funtów nagrody za dotarcie do 110° długości na zachód do Grenlandyi. Jan Ross i Parrey puścili się w podróż, ostatni zaś wziął nagrodę 5,000, dotarł bowiem do 113°. Nowy okres wycieczek do bieguna północnego rozpoczął się od nieszczęśliwej wyprawy Franklina w roku 1845-tym. Gdy w r. 1847 nie otrzymano o Franklinie wiadomości, zaczęto urządzać wyprawy, celem odnalezienia jego okrętu. Dopiero w r. 1859 Clintoek znalazł szczątki wyprawy Franklina, który, zamknięty przez lody, umarł na ziemi Wilhelma w d. 11-tym czerwca 1847-go roku. Wiele jeszcze śmiałych żeglarzy, których tu nie wymieniamy, próbowało następnie szczęścia podobnie jak słynny obecnie Nansen, który od lat trzech wypłynąłszy na

okręcie zwanym „Fram”, nie dawał o sobie wiadomości. Obecnie wedle doniesienia dzienników przybył on do Vardö i z tego co wiadomo dotąd zdaje się, iż dotarł o wiele dalej do bieguna, niż wszyscy jego poprzednicy. Dostawszy się na na morze od północy wysp Nowej Syberyi i nie znalazłszy nigdzie dalej ziemi, żeglarze zawrócili na południe i wylądowali na ziemię zwaną Franciszka Józefa, gdzie przebyli zimę, żywiąc się mięsem niedźwiedziem i tłuszczem wielorybim. Tam spotkali podróżnika Jacksona na okręcie „Windward”, który przywiózł ich do Europy. Kapitan Jackson, wyjechał na pomoc Nansenowi, i odnalazł go na lodnikach na południu od przylądka Flory. Okręt Fram powrócił nieco później inną drogą.

Wszędzie na swej drodze wyprawa spotykała przestrzenie lodowe, przerywane jednak olbrzymimi zatokami wodnymi, gdzie morze dosięgało głębokości 3,800 metrów. Na pierwszych 190 metrach woda była zimna, niżej zaś temperatura wody dochodziła $+1\frac{1}{2}^{\circ}$ C. Przyczyną tak znacznego podwyższenia temperatury, prawdopodobnie są ciepłe prądy morskie.

Z ostatniej wyprawy, oprócz rezultatów badań, wywiózł Nansen doświadczenie, które może mu ułatwić drugą wyprawę. Przekonał się, że miał z sobą zbyt mało psów i łódek małych rozmiarów. Gdyby nie to, byłby dotarł znacznie bliżej do bieguna.

Słynny ogród zoologiczny w Paryżu budzący przed tem ogólny podziw, jest obecnie w stanie upadku. Wprawdzie na utrzymanie całego ogrodu w budżecie państwa mieści się suma 980,000 franków, ale większą jej część pochłaniają koszty utrzymania urzędników cieplarni i zwierząt, skutkiem czego na zakup nowych zwierząt pozostaje corocznie bardzo niewiele. Z tego powodu w zwierzyni od pięciu lat brak nosorożca, za którego trzeba by zapłacić 20,000 franków.

Oficerowie japońscy chcą okazać wdzięczność pruskiemu ministrowi wojny za gościnne przyjęcie ich towarzyszy, przebywających na uniwersytecie w Berlinie, ofiarowali mu obecnie podarek, którego za największą cenę niepodobnaby dostać w Europie, a który jest rzadkością w samej Japonii. Jest to „O Raga-Riwatori”, tak zwany długo-ogoniasty kogut, który hoduje się tylko w okolicy Toza, prowincyi Kotraki, i nawet tam jest bardzo rzadki. Ow kogut należy do wspólnych okazów, gdyż posiada ogon niezwykle długi 5,4 metra. Wspaniały ten ptak jest wielkości zwyczajnego koguta. W podróży towarzyszyła mu kura. Generał japoński miał wiele kłopotu, gdyż zachodziły wątpliwości, czy rzadkie te ptaki odbędą pomyślnie podróż morską. Dzienniki japońskie nahlują podziw, jaki w Niemczech musi wywołać bajecznej długości ogon ptaka, którego Europa będzie oglądała po raz pierwszy.

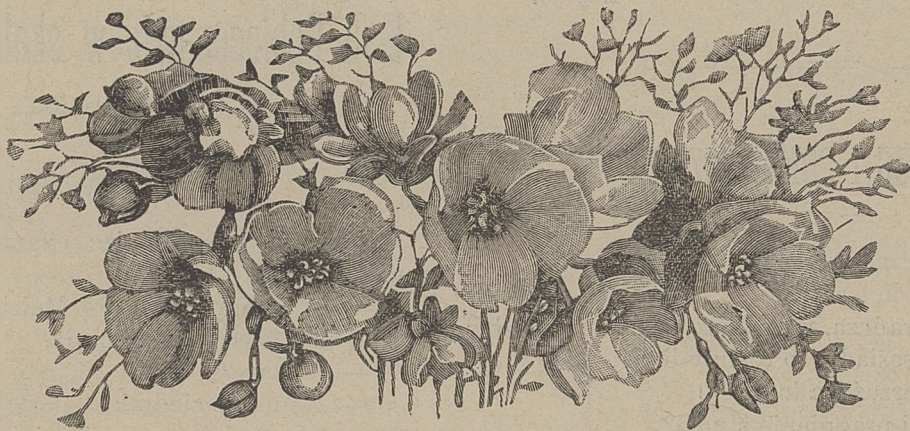
PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10 NOWY.

TREŚĆ: Na borówkach wiersz (z ryc.) — Henryka Beecher-Stowe z (drzew.) przez W. M. — Odzyskany, powieść p. Maryę Łopuszańska. Łowy z sokołami (z ryc.) — Dla siostrzyczki przez E. Jerlicza. — Z dalekiego świata. — Dodatek: Podwieczorek Ewuni przez Nagodę — Kaktus i pomarańcza, wiersz. — Dwa kawalki cukru, bajka — Mali Robinsonowie w skałach nadmorskich, przełożyła M. B. — Łamigłówni, rozwiązania. — Skrzynka do listów. — Dodatek książkowy: Robinsón kanadyjski, przekład P. Gr.

WIECZORY RODZINNE



PODWIECZOREK EWUNIA

Ewunia dostała na podwieczorek dwa doskonale kruszone ciastka z serem. Zasiadła z nimi na trawniku w cieniu rozłożystego kasztana i zaczęła jeść z wielkim smakiem. W tej chwili zbliżył się do niej Neruś ulubiony czworonożny towarzysz jej zabaw, siadł, popatrzył na dziewczynkę i oblizał się.

— Aha! nie dla Nerusia ciastka — zaśmiała się Ewunia.

Neruś pokręcił ogonkiem tak radośnie, jakby wziął te słowa za miłą obietnicę i patrzył dalej uważnie.

— Łakomy jesteś! — rzekła dziewczynka.

— Hau! hau! — zaszczekał uprzejmie Neruś, jakby chciał powiedzieć: dziękuję.

Ewunia jadła chwilę w milczeniu, ale jakoś żał jej zrobiło biednego pieska; może on nie był łakomy, tylko głodny? Przy obiedzie nie uważała czy mu dano dość dużą porcję. Chwilkę zamyśliła się jeszcze, aż wreszcie wzięła drugie ciastko, przełamała je na dwoje i oddała połowę Nerusiowi.

Wprawdzie jej własna porcja bardzo się przez to zmniejszyła, ale za to pierożek podzielony z Nerusiem smakował jej o wiele lepiej, niż ten pierwszy, który zjadła sama.

Powróciwszy do domu, opowiedziała wszystko mamie.

— Bardzo dobrze zrobiłaś, że podzieliłaś się ciastkiem — rzekła mama. — Neruś taki przywiązany do ciebie i tak dobrze pilnuje domu, a pewnie był głodny.

Ewunia wielką przyjemność zrobiła ta pochwała, to też pragnąc ją jeszcze raz usłyszeć, przy kolacji opowiedziała znowu historię ciastka tatusiowi, który także pochwalił córeczkę.

— Czy panna Julia wie, że ja dziś prawie nie jadłam podwieczorku — rzekła do bony, prowadzącej ją i braci-szka na spoczynek — bo podzieliłam się z Nerusiem.

— Ach, jużemy to wszyscy słyszeli po sto razy — odezwał się braciszek Tadzio — wielka rzecz! masz się czem chwalić.

— Nie wielka, ale zawsze ładnie żem pomyślała o piesku — odparła Ewunia, która rzeczywiście miała brzydki zwyczaj przechwalania się lada drobnostką.

Nazajutrz dzieci wybiegły na dziedziniec właśnie w chwili, gdy stary służący Jacenty wyniósł dużą miskę z jedzeniem dla psów.

Wszystkie pokojowe i podwórzowe ulubieńcy rzuciły się z wielkim apetytem, jeden tylko najchudszy i najbrzydszy pies przybłąda, który od kilku tygodni dopiero zjawił się we dworze, patrzył zdaleka łakomie na miskę, nie śmiąc jakoś do niej przystąpić.

Prawda, że ile razy tylko próbował się zbliżyć, wszystkie psy warczały gniewnie i wyszczerzały zęby.

Jeden tylko Neruś odwrócił się, spojrzał niby z litością na biedaka i usunął się robiąc mu miejsce przy misce.

— Neruś poczciwy! najlepszy ze wszystkich — zawołały dzieci.

— On tak zawsze, sam się nie naję a drugiego puszcza — potwierdził Jacenty, u którego Neruś był w szczególnych łaskach.

— Może on tak ze mnie wziął przykład, bo wie Jacenty, że ja mu wczoraj dałam swój podwieczorek, choć byłam bardzo głodna — rzekła Ewunia.

— Pewnie, że z ciebie wziął przykład — potwierdziła niby poważnie panna Julia — i teraz pewnie także zacznie wszędzie biegać i nam wszystkim opowiadać o tem co zrobił.

Ewunia zaczerwieniła się.

— Panna Julia żartuje — rzekła — jakże on może opowiadać, kiedy nie umie mówić.

— A tobie moje dziecko, czy Bóg na to dał dar wymowy, żebyś się chwaliła gdy zrobisz coś dobrego? Wiesz przecie, że dobry postępek którym się chwalimy traci całą swą wartość.

Ewunia zawstydzona spuściła główkę, od tego dnia już przestała się chwalić, choć nieraz jeszcze dzieliła najlepsze kąski z głodniejszymi od siebie, nikomu o tem nie mówiła.

Przekonała się też, że choć miło gdy nas kto pochwali za dobry postępek, stokroć milej jeszcze, gdy nam tę pochwałę oddaje tylko własne serduszko.

Nagoda.

KAKTUS I POMARAŃCZA.

Wraz z pomarańczą, w cieplarni bogatej,
Rósł kaktus koleczaty.
Rzecz raz pomarańcza, wzmógłszy się w swą pychę;
Wszystkie moje sąsiady, to rośliny liche:
Bo czyj tak sok orzeźwia ludzi?
Czyj tak, jak mój pragnienie studzi?
Na to rzecz jej kaktus w swej prostocie ducha:
Ojczyzną moją jest pustynia głucha
Jednakże z tego piasku i twardej opoki,
Ożywcze dla podróżnych, ja wyciągam soki,
Tymczasem twoje korzenie,
W bogatej ziemi mają pożywienie.

DWA KAWAŁKI CUKRU.

BAJKA.

Dwa kawałki cukru znalazły się obok siebie w srebrnej cukiernicze. Wyglądony metal odbijał ich postacie, więc przeglądały się w niem jak w zwierciadle.

— Jakże ja błyszczę — mówił jeden z nich — posiadam białość śniegu, a jednak kryję w sobie ogień, gdy rąbią mnie w ciemności, wydaję błyszczące iskry, to też jestem nie lada jakim kawałkiem cukru, pochodzę aż z wysp położonych daleko na morzu, przy brzegach Afryki. Jestem wysuszonym i oczyszczonym sokiem trzciny, która kołysała się od poddmuchu afrykańskiego wiatru. Któryż z was podróżował tyle co ja?

— Chwalisz się za wiele — odrzekł drugi kawałek, leżący obok. — Ja nie pochodzę wprawdzie z tak daleka, nie powstałem z soku trzciny, rosnącej pod gorącym niebem Afryki, ale tylko z soku skromnego buraka, zasadzonego na urodzajnej równinie Kujaw, pomimo to czyż nie jesteśmy zupełnie do siebie podobni? Czy sądzisz, że pochodzenie nasze obchodzi kogo? Nawet ludzie są równi między sobą, choć z rozmaitych okolic pochodzą, więc też i my, kawałki cukru, wszystkie jednakowe mamy znaczenie.

Zaledwie skończył burakowy cukier swe dowodzenie, jakaś ręka zabrała obu z cukierniczki, a w chwilę potem zarówno cukier z trzciny jak z buraków rozpuszczał się w filiżance gorącej herbaty.

Stanowczo miałeś słuszność — rzekł do kolegi wpływający się kawałek cukru z trzciny, losy nasze są jednakowe, choć pochodzenie różne, cała nasza wartość polega na dobroci.

Mali Robinsonowie w skałach nadmorskich.

przełożyła M. B.

(Dalszy ciąg).

Raz wieczorem, paląc cygara pan Andeo zapytał pana Dumany:

— W jakim wieku jest Melcia?

— Dziesięć lat skończyła.

— A mały?

— Ma około siedmiu.

— Czy umieją przynajmniej czytać?

— Melcia umie czytać i pisać, bo pisała przecież do ciebie, gdy wam mewa służyła za posłańca.

— To prawda. Ale te dzieci bardzo mnie interesują i jeżeli pan się zgodzi, mógłbym ich uczyć.

Nie śmiałem cię prosić pierwszy, ale będę ci niesłychanie obowiązany, jeżeli zechcesz to uczynić.

— Więc rzecz postanowiona, rano od siódmej do dziewiątej mam czas zupełnie wolny i jeszcze godzinę wieczorem.

Pan Dumany ścisnął rękę młodego człowieka i rzekł:

— Dziękuję ci bardzo serdecznie, ale pozwolisz, że nie będę darmo wyzyskiwał twego czasu dla moich wychowańców.

— Nie panie, na ten warunek nie zgodzę się nigdy, za biedny jestem by czynić hojne jałmużny pieniężne, niech więc zastąpię grosz mój pracą, to na teraz wszystko co dać mogę...

— Jednakże...

— Niech pan nie nalega, proszę bardzo, od jutra za bieramy się do nauki.

Gdy Melcia dowiedziała się nazajutrz dla czego została wezwaną wraz z Iwonkiem do biblioteki, gdzie oczekiwał na nich pan Andeo, radość jej nie miała granic.

— Tak pragnęłam żeby Iwonek się uczył — rzekła zarumieniona. — O mnie to mniejsza, ale on mój braciszek... ojciec mówił mi nieraz, że gdyby w młodości się uczył, mógłby być zostać oficerem marynarki... Ale Iwonku czy ty to rozumiesz, Iwonek oficerem?... to szczyt moich marzeń.

— Dlaczegożby nie mógł nim zostać, jeżeli się tylko zechce uczyć — odrzekł młody nauczyciel uśmiechając się na słowa Melci, wyrzeczone z takim zapałem.

— Ach, gdybym była chłopcem, jakżebym pracowała!...

— Ja nim jestem — odparł Iwonek z komiczną powagą, i zobaczył pan jak się prędko nauczę wszystkiego, co potrzebne by zostać marynarzem. Bo ja chciałbym

koniecznie być marynarzem, nie wiem tylko, jak prędko można się wszystkiego wyuczyć?

— Zobaczymy.

— Ale za wiele lat, proszę pana, za dwa można?

— Troszkę więcej.

— Może za trzy?...

— Jeszcze więcej.

— Cztery lata... to strasznie długo czekać.

— W dwunastym roku... to też trochę zawczasie...

— Dwanaście lat! ależ proszę pana, to już wcale nie tak wczesnie...

— No, tymczasem chwil darmo nie traćmy, zabierajmy się ostro do pracy.

I pan Andeo zaczął dawać Iwonkowi pierwsze wskazówki czytania i pisania.

Iwonek wedle sił i możliwości przykładał się do nauki, ale Melcia robiła większe postępy.

Nie mówiła nigdy przy lekcji, z wyjątkiem kilku pytań, gdy czego zrozumieć nie mogła. Okazywała przysiężnym wielkie zdolności do rysunków, pan Andeo był zdziwiony z jak wielką łatwością szkicowała z natury drzewa, kwiaty, psy i z prawdziwą przyjemnością pokazywał panu Dumany pierwsze postępy swej uczennicy, mówiąc:

— Z tej dziewczynki może kiedyś być artystka, a przytem jaka zdolna i inteligentna! Ileż rodziców szczyliłoby się taką córką.

Lato rozwinęło się w całej pełni, pan Dumany nie zaniedbywał nigdy swej rannej przechadzki, w towarzystwie psów, jeden z nich szczególnie, Loto, półroczny szczeniak, był jego głównym ulubieńcem. Ogromnie figlarny, gonił gołębie, wróble, wszystko w ogóle co poruszyło się przed nim.

Razu pewnego, ujrzał żabę podążającą do stawu, dalejże za nią, żaba wystraszona czując wodę blisko, skoczyła i zatrzymała się na dużym liściu lilii wodnej, rosnącej w wodzie. Loto skacze za żabą, liść się łamie i biedny psina wpada do wody, z wysiłkiem stara się płynąć, ale zamiast zbliżyć się do brzegu, płynie ku środkowi, a pływa bardzo jeszcze nieumiejętnie, chwila jeszcze a zatoni.

— Loto! Loto! — woła napróżno pan Dumany, przerażona psina nie rozumie swego pana, który woła ludzi na pomoc... Dają się słyszeć przyspieszone kroki... ktoś biegnie; to Melcia.

— Co się stało, proszę pana? — pyta zadyszana.

— Loto się topi! Nie mogę patrzeć na jego wysiłki, i odwraca się by nie widzieć śmierci ulubieńca. Wtem słyszy plusk wody za sobą, odwraca się i spostrzega, że Melcia chyżo jak strzała rzuciła się do stawu, brnie naprzód, ale woda coraz głębsza, już iść nie może, więc płynie, rękami odgarnia trawę, spieszy się bo chwila a będzie zapóźno... Nareszcie łapie psa za głowę, ale Loto choć szczeniak ciężki, jednak Melcia nie traci odwagi, słyszy krzyk, to pan Dumany stokroć gorzej przerażony, bo teraz o Melcię się obawia... Sama, pływając tak dobrze, powróciłaby niebawem do brzegu, ale psa na którego ratunek podążyła puścić nie chce, płacząc się jej ręce wśród traw i ledwo się porusza... Po wielkich wysiłkach jest nareszcie u brzegu, podaje pieska panu Dumany, który małą na niego zwracając uwagę, stawia go na ziemi i błady jeszcze z niepokoju wyciąga ręce do Melci.

— Ach moje dziecko, jakże mnie przeraziła!...

— Dziękuję panu — odrzekła Melcia, puszcżając ręce pana Dumany — woda i ja to dwie dobre znajome — dodała, śmiejąc się.

— Loto, chodź tu! trzeba go rozetrzeć proszę pana — to mówiąc zerwała pęk trawy i poczęła nim rozcierać pieska, który ledwo miał siłę stać.

— O tobie trzeba myśleć nie o nim, moje pocziwe i odważne dziecko — rzekł pan Dumany ze wzruszeniem i biorąc głowę Melci w swe ręce ucałował ją serdecznie w czoło, — co chcesz moje biedactwo za wynagrodzenie twego postępkę? — zapytał.

— Nic nie chcę, proszę pana.

— Wiedząc, że lubię tego psa naraziłaś swe życie, by go uratować?

— Nie było panie niebezpieczeństwa, umiając pływać czyż mogłam pozwolić, by Loto w oczach mych zginął?

— Jednakże, chciałbym ci coś dać za to...

— Nie, o nie! Czyż ja dałam co panu za wszystko, co pan uczynił dla mnie i dla mego brata, prawda, że nie mam, a to co teraz zrobiłam, jest rzeczą tak małą, że mówić o niej proszę pana nie warto.

— Widzę, że chcesz aby dług wdzięczności pozostał przy mnie!

Tegoż dnia o szóstej wieczorem Iwonek wbiegł do pokoju panny Hortensyi.

— Ubieraj się prędko siostrzyczko, włóż suknię niedzielną, pan kazał dodać jedno nakrycie do stołu i powiedzieć, że będziesz jadła obiad razem z państwem.

— Ja mam się z państwem do stołu? — zapytała zdziwiona Melcia — musiałeś się przesłyszeć.

— Rzeczywiście Iwonku dowiedz się dobrze, bo mógłbyś zrobić siostrze wielką przykrość — wtrąciła panna Hortensya.

— Kiedy pan powiedział to przed minutą do Jo, a on ze zdziwienia tak oczy przewrócił, że mu było tylko białka widać i przysłał mnie z tem do Melci. Zejdiesz na dół jak tylko drugi raz zadzwonią.

— To pewno za to, żeś psa pana wyratowała — rzekła panna Hortensya, której Melcia opowiedziała ranne przygodę. — Chodźmy, pomogę ci odprasać sukienkę niebieską, ta najładniejsza.

(d. c. n.)

S Z A R A D A

przez E. L.

Pierwsze z drugim raz ciężkie, to łagodne bywa,
Pierwsze z trzecim jest napój, wszędzie się używa,
Drugie z czwartem na świecie pożywszy lat wiele,
 Można ponieść niestety! na duszy i ciele.
Pierwsze z czwartem miasteczko co nam przypomina,
 Na uczcie galilejskiej cud Bożego Syna.
 Wszystko razem przez puszcżę, wśród niewygód wielu,
 Ciągnie, bądź to w handlowym, bądź w pobożnym celu.

PROZA DO PRZEROBIEŃ NA WIERSZE.

(Nic nie dodając ani ujmując).

Parki pracowite, szafarki łaskawe ciągną złotą nić naszego życia, w wrzecioneczkach żywo namotają, nawijają w złote kłębki dni nasze. A gdy już srebrzystej nie stanie przędzy, to przetną pasmo i wnet się człek ujrzy w wieczystej drodze, ten zaś szczęśliwy kto w swoim czasie żył dobrze dla ludzi. Tak i schodzi i jako przyszedł na świat czysty, jako godzi się sprawiedliwym. A świat był jemu ognistym płomieniem, z którego w wieczność wypłynął żywot czystym jak żelazo, tam gdzie pocihu przeszli na wspólne narady, ojciec dziady.

ŁAMIGŁÓWKA KRYSZTAŁOWA.

Ułożył Bratek.

1. Spółgłoska.
2. Organ jednego z pięciu zmysłów.
3. Rzeka wpadająca do morza Bałtyckiego.
4. Rozmowa z samym sobą.
5.
6. Miasto nad Renem.
7. Sprzęt domowy.
8. Rzeka w Niemczech.
9. Spółgłoska.

Litery środkowe czytane poziomo i pionowo oznaczają nazwę zwierzęcia, zamieszkującego strefy podzwrotnikowe.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 33-go.

Szarady: Sto — do — ły.

Łamigłówni sylabowej:

- 1) Seret. 2) Yokohama. 3) Romulus. 4) Orzeł. 5) Korale. 6) Ontario. 7) Minerwa. 8) Leonidas. 9) Adam.

Zadania konikowego:

Cheesz drugich poprawiać, przyjrzyj się wpiersz sobie, Czy do poprawienia, niema czego w tobie.

Skrzynka do listów.

Zdarza się nam niejednokrotnie słyszeć zdanie uczącej się młodzieży, że nauka obcych języków niepotrzebnym jest trudem, że bez ich znajomości można się obejść bardzo dobrze w życiu, a marnie spędzone godziny nad przyswojeniem sobie języka francuskiego lub niemieckiego, dałoby się z większą korzyścią przepędzić. Jakże błędne są zdania podobne, znać zaraz, że tylko bardzo jeszcze młode główki mogą w ten sposób rozumować. Obce bowiem języki są bardzo potrzebne, niezbędne prawie, a znajomość ich w jakichkolwiek warunkach bytu daje nie tylko wiele przyjemności, ale często ratuje w trudnych okolicznościach życia. To też jak źle czynią

dzieci, które nie korzystają, należycie z warunków dających im możliwość przyswojenia sobie czy to francuskiej, czy niemieckiej mowy, dowodzą często powtarzające się fakta, że starsi już nieraz ludzie, uznając potrzebę lekceważonej w dziecinnych latach nauki, zabierali się do niej z tym większym oczywiście trudem i mozołem. Literatura niemiecka jest zresztą tak bogatą, że dla samego poznania jej gruntownie przykładać się należy do nauki tego języka. Słuszność uwag tych *Miecia W.* z pewnością z czasem uzna także.

Ze *Skowronkowi*, który przez całe lato bujał swobodnie wśród pól i lasów u dobrej babuni, smutno jest wracać do miejskich murów, pojmujemy w zupełności, ale cieszy nas też, że Skowronek rozumie konieczność pracy i nauki, w której oby i w tym roku znalazł równe powodzenie jak w roku zeszłym, a więc promocję z nagrodą.

Redakcja chętnie uczyni zadość prośbie złotej *Muszki* i życzone książki będą jej wkrótce wysłane. Dlaczego jednak *Muszka* obawia się tak bardzo naszego surowego sądu dla swej pracy, jeżeli prawdziwie w uszyciu tej sukienki dołożyła starania i gdy aż „dumną” była, że już taką rzecz sama wykończyć potrafi. Zarozumiałość jest brzydką wadą, ale uniknąć jej można bez przesadnej skromności.

Nieźle pomyślaną łamigłównę przysłał *Władzio Z.*, również dobre rozwiązanie szarady. Zauważyliśmy jednak, że *Władzio* bodaj niezupełnie jasno przypomina sobie, kiedy przysłówek *nie* pisze się oddzielnie, a kiedy razem z następującym po nim wyrazem. Otóż reguła gramatyczna uczy nas: „*nie* tylko przy słowach pisze się osobno”, będzie więc zawsze: *niepogoda*, *niezdrowie*, *nieładny*, ale *nie wówi*, *nie piszemy* i t. d.

Pani *Stefanii B.*, jako podręcznik do nauki botaniki polecił zawsze jeszcze możemy „Świat roślinny” M. Zaleskiej; jest to bowiem dziełko opracowane z wielką znajomością nie tylko samej wiedzy, ale też i młodych umysłów, które często nuży i zniechęca sucha podawana nauka. Zajmująca zaś forma opisów zarówno flory krajowej jak zagranicznej, jakie podaje „Świat roślinny” budzi w uczniu żywe zainteresowanie.

Psia grota pod Neapolem, o którą zapytuje *Stefan W.* jest w samej rzeczy więcej niebezpieczną dla psów jak dla ludzi z tej bowiem przyczyny, że wydobywający się tam z ziemi *kwasy węglowy* jako gaz cięższy od powietrza, nie unosi się w górę, lecz w grubej warstwie pozostaje u dna jaskini, zatem człowiek stojący prosto, mniej narażony jest na działanie tego zabójczego gazu, aniżeli zwierze trzymające swą głowę bliżej ziemi. Psia grota nie jest tak zupełnie wyjątkowym zjawiskiem, owszem znanych nam jest więcej podobnych miejscowości, choćbyśmy wspomnieli tylko o obszernej dolinie na Jawie, gdzie znajduje się taka obfitość kwasu węglowego że żadne zwierzę utrzymać się nie może, a wypadkiem przelatujący ponad doliną ptak, spada i zamiera. Kwas węglowy, jest gazem nie palnym o zapachu kwaskowatym i ten, który wydobywa się z ziemi, lub który powstaje przy każdym fermentie jest drobnostką tylko w porównaniu do ilości jaka się tworzy przy każdym prawie paleniu, dla tego też zimą zdarzają się tak częste wypadki zaczadzenia przy zbyt wczesnym zamykaniu piecyków, z których gaz wydobywa się do mieszkania. Lecz w pokoju, w którym niema ognia bywa powietrze czasem zatrute kwasem węglowym, zdarza się to zaś wtenczas, gdy w nim przy szczelnie zamkniętych drzwiach i oknach siedzi dłuższy czas więcej osób. W płucach naszych od bywa się nieustannie choć bardzo powolne palenie, przy którym tak jak na kominku zużywa się zawarty w powietrzu *tlen*, a wydziela *kwasy węglowy*. Dle tegoteż szkoły, warsztaty i wogóle budynki, gdzie się gromadzi więcej osób, powinny być zaopatrzone w stosowną wentylację, a higiena zaleca również z tej przyczyny przewietrzać mieszkania nasze.

PENSJA ŻEŃSKA 6-cio KLASOWA

Klasa przygotowawcza z oddziałem freblowskim

Natalii Porazińskiej

Plac Ś-go Aleksandra Nr. 18 dom Fuksa

Zapis uczennic na rok szkolny 1896/7 rozpoczyna się 27 sierpnia, lekcyje 5-go września.